Rozmaitości

Dnia 13. Sierpnia Nr 33. 1836 Roku.

LEONE - LEONI.

Powieść w skróconém opowiadaniu podług *G. Sand.*)*

Byłoto w chwilach karnawału podczas burzliwéj nocy; Hiszpan don Aleo Bustamente i Julietta zamieszkiwali pięknie położoną gospodę przy *Riva dei Chiavoni* w Wenecyi. Zatopiony w głębokiém dumaniu, paląc cigaro, przechodził się Hiszpan tam i sam po komnacie; Julietta słaba, cierpiąca, lekkim snem zjęta, spoczywała na łóżku. Po długiém przechadzaniu się i ciężkich rozmysłach Hiszpan zatrzymał się nakoniec, zbliżył się do drzémiącéj i tak przemówił: »Juliettol chcesz ty być moją żoną?«

Zbudzona, podniosła oczy ku niemu i nie dała odpowiedzi; on powtórzył pytanie... »Słyszałam już,« rzekła i zamilkła powtórnie. Bustamente dotknięty boleśnie znowu tam i sam przechadzał się po komnacie, pokąd Julietta sama nie zagadła go pytaniem: »Jakie możesz miéć do tego powody? Stosunki twoje ze światem muszą ci bardzo ciężyć. O wiém ja, mój kochany Aleo, że w oczach świata napiętnowaną jestem niezatartém mianem: *dziewczyny na utrzymaniu!*« — »Zetrzemy tę hańbę Julietto, imię moje oczyści cię z wszystkiego.« — »O dumo magnata!« westchnęła; »Bustamente! czy w rzeczy samej chcesz mię pojąć za żonę? O Boże, Boże! ta myśl na jakież mię porównanie naprowadza!...« I ciągle toczyła się ta smutno-tkliwa rozmowa. Julietta ustawnie wracała pamięcią do owego mężczyzny, któremu nieograniczoną poświęciła miłość, a którego w Wenecyi przypomniało jéj każde miejsce.

*) G. Sand, przybrane nazwisko sławnéj romansopisarki, pani Dudevant; niektóre miejsca téj powieści oznaczone cudzysłowem są wiernie przytoczone z oryginału, a reszta jest skróconą osnową.

»Choćbym miał życiem przypłacić,« rzekł Hiszpan, »jutro opuszczamy to twoje ulubione miasto.« — »Jutro nie tylko Wenecyję, lecz i Juliettę opuścić możesz,« odrzekła z cierpką oziębłością; »co do mnie, od nikogo rozkazów odbiérać nie lubię, i Wenecyję wtenczas opuszczę, kiedy mi się podoba.« — »Mościa panno! zdaje mi się, że ją rozumiém,« rzekł pomieszany Bustamente; »Leoni jest w Wenecyi!« Julietta, jakby rażona piorunem, zadrzała: »Co słyszę? Leoni w Wenecyi!« zawołała prawie od zmysłów odchodząc, i padła w ramiona Hiszpana; »powtórz coś powiedział, powtórz imię jego; o, przynajmniéj raz jeszcze niechaj to imię usłyszę!...« Bustamente nie posiadał się w gniewie i zazdrości; Julietta bez zmysłów upadła na łoże; wycieńczenie sił i obojętność zdawały się odnosić zwycięztwo nad wzburzeniem tylu namiętnych uczuć. Nastąpiło pojednanie. Wzruszona wspaniałością i czułością Hiszpana, na prośbę jego, aby wylała przed nim całą boleśną gorycz rozdartego serca, zezwoliła na opowiedzenie mu dziejów swego nieszczęśliwego życia i miłości do Leone Leoni:

Julietta była córką bogatego jubiliera w Bruxelli; dla bogactw swoich miała wstęp do wszystkich towarzystw; ojciec jéj był człowiek łagodny i miękki, a matka lubiąca zabawy i dobroduszna osoba. W takiém położeniu stroje i rozrywki zajmowały ją wyłącznie. Szesnaście lat miała wtedy, kiedy do Bruxelli przybył Leoni, jaśniejący urodą i przymiotami umysłu, dla swoich towarzyskich talentów powszechnie poszukiwany, i naśladowany powszechnie. Julietta z początku lubo przyjmująca go ozięble, odbiérała od niego wyłączne hołdy przed wszystkiém

damami; Leoni zaczął bywać w ich domu, umiał sztukę jubilierską uwielbiać i uszlachetniać; umiał urodą swoją i grzecznością wielkiego świata zniewalać serce matki; wyrachowanemi pochlebstwy skarbić sobie łaskę roztropnéj ciotki, a to z taką układnością, że nikomu nawet przez myśl nie przeszło, aby Leoni miał być szulerem; wszyscy byli tego uprzedzenia, że majątek jego wystarcza mu na to wystawne życie; nie długo i sama Julietta najgorętszą przylgnęła do niego miłością. »Przekonaną jestem,« mówiła, »że nikt w świecie ani czuł, ani umiał wysłowić takiéj miłości, jak Leoni. Wyższy nad innych mężczyzn i w złém i dobrém, mówił innym językiem, patrzał innémi spojrzeniami, miał serce nie takie jak drudzy. Słyszałam zdanie pewnéj francuzki: że bukiet w ręku Leoniego nabiéra wonniéjszego zapachu, niż w ręku każdego innego mężczyzny, i wszystko tak, czego się dotknie. Kto wstąpił krokiem w jego czarnoksięzkie koło, już nie mógł i nie chciał oderwać się od niego. Widział swoje zwycięztwo, to go czyniło dumnym i szczęśliwym. Przynosił mi piękne, umysł kształcące książki. Tkliwe i namiętne powieści, obrazy świata idealnego, wznosiły moję duszę, ale i pochłaniały razem. Umysł mój usposobił się do romantyzmu — do najnieszczęśliwszego stanu kobiéty!« Dzień ślubu został już wyznaczony; oczekiwano tylko na papiéry Leoniego, na dowody jego stanu i majątku; lecz nie nadeszły w spodziéwanym czasie; kochankowie doznawali zmartwienia z powodu téj zwłoki, a pobłażający rodzice już zezwolili nie czekać na te formalności; i tak postanowiono, aby wesele niezwłocznie odbyło się w następnym tygodniu. Dzień, w którym się to działo, był zapustny czwartek. Matka z córką zaproszone były na bal przepyszny; na prośbę Leoniego przebrały się za Turczynki, ciotka Agata za Żydówkę, on zaś sam za Turka; stroje ich przechodziły wszystko bogactwem i okazałością drogich kamieni jubiliera, którémi ozdobione były. W czasie balu siedział Leoni przy swojéj narzeczonéj, i mówił z nią półgłosem z takiém namiętném czuciem, że wszystkie słowa jego, jak iskry, na jéj serce padały. Lecz nagle wyrazy zastygły mu na ustach. Pobladł jak śmierć, i zaląkł się, jakby widmo zobaczył. Julietta spojrzała tam, gdzie on wzrok wlepił i postrzegła młodego mężczyznę Henryet, który dawniéj o nią się starał, lecz doznał odmówienia; a który teraz powrócił z podróży do Paryża. Widok téj osoby nie był i dla niéj przyjemny, chętnie też dała się wyprowadzić Leoniemu do drugiéj sali. Przechodzili przez wązki kurytarz; Henryet szedł krok w krok za nimi. Julietta, postrzegłszy to, rzekła: »Człowiek ten ściga nas jak złe sumienie; jestżeto człowiek? Nie ledwie wzięłabym go za jaką pokutującą duszę!« Ręka Leoniego, w chwili gdy go ujrzał tak blizko siebie, stała się zimną jak ręka śmierci, drészcz przejmował go na wskróś, uskarżał się, że ciérpi, i prosił ją, aby weszli do osobnego pokoju, gdzie chwila spoczynku ulgę mu przyniesie. Mówiąc to, gwałtownie wciągnął mię do budoaru, zdawało się, że nie szedł, lecz uciekał. Słyszałam czyjeś kroki za nami, obracam się, byłto Henryet, który coraz się zbliżał, jakby nas ścigał oboje; myślałam, że miał pomieszane zmysły. Przestrach malujący się na Leonim, którego dłużéj ukrywać nie mógł, do reszty zwichrzył myśli moje, jakaś trwoga, jak przed zjawiskiem, przejęła mię, krew ścięła się we mnie, jak kiedy zmora dusi we śnie, ani kroku nie mogłam postąpić daléj. W tém dogonił nas Henryet, i rękę, jakby żelazną, położył na ramieniu Leoniego, który jak piorunem rażony stanął i głową dał znak przyzwolenia, jak gdyby w tém okropném milczeniu odgadł był jego pytanie, i dorozumiał się, czego od niego żądał. Teraz oddalił się Henryet, i mogłam już ruszyć się z miejsca. Poszłam z Leonim do budoaru, i blada, pomieszana, jak on, upadłam na sofę.« Leoni rzucił się jéj do nóg, i wyznał, że będzie zgubiony, jeżeli Julietta nie kocha go zapamiętale; okropna tajemnica, któréj wyjawić nie może, cięży na nim; natychmiast musi z nim uciekać, jeżeli nie chce, aby sobie życie odebrał. Pół bezprzytomnie, pół mimowolnie przystała na jego żądanie.

»Nie wiele chwil mamy do stracenia,« rzekł Leoni, »za godzinę musimy być w drodze, inaczéj ucieczka twoja jest niepodobną. Oko sokole śledzi nas. Zechciéj tylko, możemy je oszukać. Wróć do sali, nie dawaj oznaków pomiészania; tańcuj, jeżeli będzie potrzeba, lecz zostań na balu. Jeżeli Henryet wciągnie cię w rozmowę, bądź ostrożną i nie drażń go; pomniéj, że jeszcze całą godzinę los mój

w jego spoczywa ręku!« Za godzinę przyrzekł, że przydzie po nią ubrany w domino. Julietta powróciła do sali: »Przedsięwzięłam unikać, ile można, spojrzeń mojéj matki, lękałam się jéj niespokojności, jéj czułości, i własnych wyrzutów sumienia. Chustkę jéj postrzegłam na krześle, uchwyciłam ją, przycisnęłam do ust i wciągałam w siebie w bolesnych pocałowaniach. Towarzyszka moja mniemała, że mię kaszel dręczy; co udawałam w istocie. Nie wiedziałam sama, jak tę nieznośną godzinę wypełnić, która ledwo upłynęła w połowie. Ciotka moja postrzegła, że ciérpię mocny katar, i chciała namówić matkę, abyśmy do domu wrócili. Oparłam się temu zagrożeniu, i przyjęłam nowe wezwanie do tańca. Dopiéro w tłumie wijących się tancerzy, postrzegłam, żeto był walec; nigdy przedtém nie zwykłam była walcować; tém bardziéj gdy w mężczyźnie, który mię trzymał w swoich ramionach, niemiłe oblicze Henryeta poznałam; lecz z saméj bojaźni nie mógłam uwolnić się z rąk jego. Gwałtownym wirem porwał mię ze sobą; dostałam zawrotu głowy. Pytałam siebie saméj, czyliż wszystko, co się koło mnie dzieje, nie jest snem, zjawiskiem, czyliżto nie gorączka trzyma mię na łożu, lub czyli, w szale obłąkania, istotę, która napełniła mię strachem, nie porwałam do walca? Potém przypomniałam sobie, że Leoni ma powrócić po mnie; to ścigałam oczyma moję matkę, która rozkołysana radością nic nie przeczuwająca, lekko przebiegła koło walcujących. Nie podobna, rzekłam do siebie, nie mogę tak opuszczać drogiéj matki! Postrzegłam, że mię Henryet silnie cisnął w ramiona, i że wzrokiem swoim oblicze moje pożérał. Chciałam już krzyknąć, i uciéc, lecz opamiętałam się, wspomniawszy ostatnie wyrazy Leoniego: los mój jeszcze jednę godzinę spoczywa w jego ręku! Zwyciężyłam siebie. Odpoczęliśmy na chwilę. Mówił do mnie. Nie słyszałam i odpowiadałam z uśmiéchem w roztargnieniu. W tém uczułam otarcie się jedwabnéj szaty o moje wygorsowane plecy i ramiona. Nie potrzebowałam się obracać, po stłumionym oddechu poznałam przybycie Leoniego. Żądałam być odprowadzoną na swoje miejsce. W mgnieniu oka Leoni w czarnem domino, podał mi rękę; poszłam za nim. Przedarliśmy się przez tłumy, i nie wiém jakim cudem uszliśmy zazdrosnemu oku Henryeta i troskliwemu matki.«

W kilka chwil potém siedzieli już w powozie pocztowym, i uciekali. Przez dwadzieścia cztéry godziny pędząc bez ustanku, nie wysiadali nawet podczas przemiany koni. Potém zatrzymali się w jakimeś od gościńca odległym, odosobnionym domku. Tu dopiéro zrzucili z siebie bogate stroje balowe, a Julietta prosiła Leoniego, który w tych kłopotach o swojéj zapomniał czułości, aby odesłał klejnoty ojcu; jakoż natychmiast w szkatułkę spakowane zostały. Po krótkim wypoczynku puścili się w dalszą drogę i kilkakroć jeszcze odbywali podobne noclegi. Im większa odległość oddzielała ich od miejsca ucieczki, tém weselszy i tkliwszy był Leoni. Nakoniec przybyli do Genewy, gdzie wypocząwszy, udali się do rozkosznéj ustroni, położonéj w dolinie jeziora *Lago maggiore*. Tamto, na łonie spokoju i szczęśliwéj zaciszy, w oddaleniu od reszty świata, śród powabnéj przyrody, Julietta i Leoni przeżyli najpiękniéjszych sześć miesięcy. Para młodych małżonków pełniła przy nich służbę. W piękną pogodę wybiérali się częstokroć na odległe przechadzki, pieszcząc się z cudownémi widokami okolic; w dniach słoty i burzy zatrudniali się w domu podług planu, jaki Leoni codzień zakreślał i ściśle czuwał nad dopełnieniem onego. Sam on posiadał wiele zręczności w różnych drobnych rzemiosłach; przytém malował i wiérsze pisał. Przez cały dzień nie wiele mówili z sobą; kilka słodkich wyrazów i pieszczot, i na tém dosyć. »Lecz z nadchodzącym wieczorem Leoni stawał się ociężałym na siłach, a umysłowie silniéjszym; byłyto godziny, w których otaczał się dziwnym urokiem, i tych oszczędzał na wylanie wzajemnych uczuć naszych. Zmęczony całodzienną pracą siadał na murawie u nóg moich, w ulubionem miejscu nie daleko od domu, na pochyłości pagórka. Ztamtąd przypatrywaliśmy się zachodzącemu słońcu, melancholijnemu gaśnieniu dnia, poważnéj i uroczystéj nocy; wiedzieliśmy w jaką chwilę każda gwiazda wschodzi, i na ktorym punkcie zaczyna stroić się w promienie. Leoni obeznany był z astronomiją; lecz Jan, domownik nasz, w równym prawie stopniu posiadał tę naukę pastérzy, i tylko nadawał gwiazdom inne, często poetyczniéjsze, malowniéjsze miana.

Bywało, jeżeli się Leoni ubawił jego wiejską erudycyją, kazał mu grać na piszczałce pieśni pastérzy szwajcarskich. Dzikie te dźwięki w oddaleniu dziwną przejmowały rozkoszą. Leoni zapadał w marzenie, równające się szałowi zachwytu, a kiedy jeszcze noc otoczyła nas swojémi skrzydły, kiedy ciszę doliny przerywał czasami żałośny krzyk w skałach gnieżdzącego się ptaka, kiedy świécące robaczki zapalały się dokoła nas na trawach, a wietrzyk ciepławy szumiał w gałęziach jodeł nad naszémi głowy; wtenczas Leoni jakby budził się ze snu, zaczynał jakieś nowe życie; dusza jego płonęła, namiętną wymową wzruszał mi głębię serca; rozmawiał, luby ten marzyciel, to z niebem, to z wiatrem, z echami, z całą przyrodą, tulił mię w swoje ramiona i zanurzał w morze pieszczot i rozkoszy; potém łez potokiem rozpływał się na mojém łonie, i znowu utulony, spokojny, najsłodsze, najczarowniéjsze toczył ze mną rozmowy. O! jakżeż nié miałam kochać człowieka, który nié miał równego siebie, czyto w swych dobrych, czy złych godzinach? Jakże był on piękny, jak kochania godny. Jak mu dobrze do męzkiéj jego twarzy odbijała cera ogorzała od słońca! A jak umiał kochać, a jak o kochaniu mówić! Jak umiał życie owładnąć i przystroić w powaby! Co czynił, co mówił, było dobre i piękne. Spaniałomyślny, czuły, tkliwy, bohatér; piérwszy niósł pociechę ubogiemu, który zakołatał do drzwi naszych, żebrząc pomocy w nędzy, lub chorobie. Razu pewnego rzucił się w wezbrany strumień z niebezpieczeństwem życia ratując młodego pastérza; znowu całą noc śród okropnych niebezpieczeństw błąkał się po śniegach, spiesząc z pomocą zbłąkanym podróżnym, którzy jękami swemi wzywali o nią. O mógłamże, mógłam najmniéjszą nieufność miéć ku Leoniemu! mógłamże drzéć o niepewną przyszłość! Niech mię ktoś nie sądzi, żem łatwowierną i słaba, bo każda i z najmężniéjszém sercem kobiéta, uległaby w pół roku takiéj miłości. Jam téż uległa ze wszystkiém, a żal po rodzicach, okrutnie opuszczonych, wyobrażenie ich udręczeń coraz czułam słabiéj, a w końcu całkiem czuć przestałam. O jakże wielką była potęga tego człowieka!«

Przypomnienie owéj okropnéj tajemnicy na balu, naprowadzało Juliettę niekiedy na myśl, żeto jakaś jedna z tysiącznych romantycznych intryg, o których się tyle naczytała w romansach, co więcéj, znachodziła ona w téj niedocieczonéj mataninie jakiś szczególny powab, i dopiéro ostatniéj nocy, kiedy za zbliżającą się zimą, z obawy lodozwałów, postanowili opuścić dotychczasową swoję siedzibę, była świadkiem szczególnéj sceny. Zbudziwszy się, postrzegła, że Leoniego nié ma w pokoju; zniecierpliwiona oczekiwaniem ubrała się i poszła go szukać w noc chłodną. Idąc cicho i ostrożnie zeszła go, nie będąc sama widzianą, jak z ziemi skrzynkę jakąś wykopywał; w śmiertelném udręczeniu patrzyła na jego czynność, i jak spłoszona zwierzyna uciekła przed nim do domu. W pół godziny dopiéro nadszedł Leoni; lecz ona przez całą noc śniła tylko o téj skrzynce, i widziała mnóstwo dziwnych rzeczy, jakie z niéj dobyto: jakieś karty osobliwego kształtu, jakieś krwawe sztylety, znowu kwiaty, pióra i klejnoty, i znowu kości i węże i bryły złota, łańcuchy i okowy. Najmocniéj strzegła się, aby z czémkolwiek przed Leonim się nie wydać. Nazajutrz wybrali się w drogę i przybyli do Wenecyi. Stanąwszy z razu w jakiméś lichym domku, zaraz potém, piérwszego dnia zamieszkali bardzo spaniały pałac, noszący napis: *Palazzo Leoni.* Tam znalazła Julietta w sypialnym Leoniego pokoju skrzynkę już próżną, i spadł jéj ciężar, jak kamień z serca, lecz przypadkiem wpadła jéj w ręce szpilka z wielkiemi brylantami, w któréj poznała robotę swego ojca. Z tego powodu zapytała Leoniego, czy w rzeczy saméj odesłał klejnoty jéj ojcu? On zapewniał ją o tém, i uniewinniał się, iż przez nieuwagę jedna szpilka została się przy nim. W pałacu najweselsze panowało życie, i od dnia do dnia pomnażała się liczba gości. Julietta nie wiele w tém znachodziła upodobania, lecz Leoni zdawał się bardzo rozkoszować. Ustawne tylko gody, pijatyka, gry, ustawne rozrywki i roztargnienia. Prawie cały tuzin przyjaciół nawiedzał go codzień, bylito ukształceni i z najlepszego tonu ludzie, ale Leoni był duszą i głową tego świetnego koła, które rej wodziło w modach, zabawach, wystawném życiu i dobrym tonie. Julietta nie zadowolona tym rodzajem zgiełkliwego życia, dała Leoniemu do poznania, że tęskni za cichém szczęściem w owéj szwajcarskiéj

dolinie. Leoni starał się ją przekonać, że zmiana potrzebną jest dla człowieka, i pewnego razu, kiedy czułą roniła przed nim skargę, tak jéj powiedział: »Julietto moja, aniołowie są dziećmi, ty jesteś piérwsze i drugie; ty nie wiesz, że miłość jest wypływem najszlachetniéjszego skarbu duszy, a tych skarbów strzedz nam potrzeba, jak źrenicy w oku. Dziécię! ty nie wiész, czém jest twoje własne serce! w dobroci, w pełności czucia, w ślepém zaufaniu, widzisz w niém tylko ołtarz nieśmiertelnéj miłości; ale pomniéj, że i samo słońce nie trwa na wieki. Dziécię! ty nie wiész, że dusza równie się zmorduje, jak ciało, i że ją równie pielęgnować potrzeba. Julietto, zostaw mi o wszystkiém staranie, niech pielęgnuję święty płomień twojego serca; o, wiele mi na tém zależy, bym twoją miłość najdłużéj zachował, bym ci przeszkodził w roztrwonieniu onéj tak prędko. Wszystkie kobiéty podobne są tobie, kochają z tak wielkim pospiechem, że potém nagle ustają w miłości, nie wiedząc same, dla czego! Przypomniéj sobie czasy słotne w naszéj dolinie, kiedym upornie nalegał, abyś się oddawała zatrudnieniu, chcąc przeto oderwać cię od marzeń i od melancholijnéj tęsknoty, które zawsze z nieczynności wypływać zwykły. Wierzaj mi, zbyt częste zgłębianie siebie i drugich jest niebezpieczne, potrzeba otrząsać się z téj samolubnéj konieczności, która nas ciągnie do zapuszczania się w tajniki własnego serca i osób kochanych. Rozrywki grożą niebezpieczeństwem tylko duszom słabym i leniwym. Ognista dusza goni za niémi, aby się nie strawiła w sobie, i zawsze będzie bogatą. Tutaj, przyznasz sama, potrzebujemy ruchu i częstych odmian. Gmachy pałaców są piękne, lecz smutne; piana morska liże ich posady, a nad czystém źwierciadłem wody, która je odbija, częste mgły się podnoszą, i spadają łzami. Ten zbytek przepychu nosi piętno poważne, a te szczątki świetności staréj rzeczypospolitéj tyle podobające się tobie, są tylko długim szeregiem grobowców i mogił, które kwiatami zdobić potrzeba. Żyjącymi napełniać należy pustki tego pałacu, gdzieby cię własne twe kroki nabawiały trwogą, gdybyś była samotną. Złoto rzucajmy z okien między kupę gminu, któremu za pościel służy zimna, kamienna pierś mostu, ażeby widok nędzy nie brudził nam wesołych, nietroskliwych myśli. Niechaj cię śmiech nasz rozwesela, nasza pieśń usypia; Julietto! nie myśl o niczém, mnie zostaw, abym ci w kolej życia sypał same rozkosze, jeżeli mi nie wolno zamienić ci tego życia w puhar radości. W Wenecyi bądź mi żoną i kochanką, na lodowatych górach Szwajcaryi zostaniesz mi aniołem i moją Sylfidą!«

(Dokończenie nastąpi.)

SONET.

Sen twardy wiosnę moję ztérał w poniewierce,
Długo w rzeczywistości lodowém posłaniu,
Nieprzystępném objęciom i pocałowaniu,
Ziębiała wyobraźnia, zamarzało serce.

Gdzież teraz duszy mojéj kwieciste kobierce?
Ni zgasnąć im w pomroku, ni błyszczéć w zaraniu;
Jak gdyby zatrzymane na samém skonaniu,
W uwiędłém licu tają po bladéj iskierce.

Gdzież teraz czucia mego motyle i kwiaty?
Które niegdyś barwami pyszniły się w tłumie?
Czyliż im świat powróci tylu wdzięków straty,

Które splamić i wyssać jako upior umié?
Żeś chciał prawdy dociekać niewdzięczny rozumie,
Dla tegoś z niéj pozdziérał najpiękniéjsze szaty.

GOŚCINCE I KOLEJE ŻELAZNE.

Swiat staje się coraz prozaiczniejszym; w tym duchu jeżeli daléj postępować będzie, nie długo materyi zabraknie poetom. Wszystko obraca się w rozum, wszędzie wynalazki, ulepszenia, ułatwienia i pospiech. Para, elektryczność, gazy, koleje żelazne... o nieba, jaka proza! Z kolejami żelaznémi przepadnie piękna gałąź poezyi... a tą jest właśnie poezyja gościńców. Chociaż w Dmóchowskiego sztuce rymotworczéj nié masz wzmianki o tym rodzaju poezyi, mniejsza oto... przecież on istnieje i wszystkie inne w sobie zamyka.

Zbadajmy na chwilę poezyję gościńców: Tutaj studnia wabi do siebie wędrowca, aby spoczął na kamiennéj ławeczce i pokrzepił się świéżym zdrojem, podczas gdy wietrzyk dzwoni w gałęziach rosnących u źródła topoli. Nie jestżeto liryczne poema? Tam kilku wieśniaków żywą wszczynają zwadę, która coraz groźniejszą postać przybiera, aż w ciągu podnosi się do wysokości dramatu, a nakoniec do szczytu trajedyi, któréj zasadą przestrach

i trwoga być powinny. Owdzie nadciaga poema bohatérskie, wprawdzie nowoczesne, bo to pułk żołniérzy, maszerujący na garnizon do blizkiego miasteczka. Tu wspina się gościniec aż na szczyt góry. Dzień zaczyna świtać; poranek różowémi stopkami skacze z góry na górę; a powłoka mglista rozprasza się z dolin. Owdzie w pobożném zachwyceniu na widok poranku stoi wiejski pleban. Nie jestżeto oda? A może żąda ktoś prozy poetycznéj? Niech spojrzy na tę wysoko wyladowaną brykę, pokrytą białém żaglowém płótnem, i z plecionémi półkoszki! Tuż przy niéj kroczy woźnica, w niebieskiéj bluzie, z zamaszystym biczem! Széroki gościniec bieży właśnie przez las zielony; woźnica, idący przy koniach, puszcza dymek z lulki; zaziéra w cienie lasu, przysłuchiwa się kowaniu dzięcioła, i żyje zupełnie poetyczném, na łonie przyrody życiem. Daléj przyłącza się do niego kilku wędrownéj czeladzi, wszczyna się poufna gawędka o wesołéj stolicy Wiédniu, o starożytnym Krakowie.

Nawet i dla humorystycznych poezyj na ożywionym gościńcu nie mało znajdzie się przedmiotu. Tutaj najęta duża landara toczy się ciężko, i kołysze się w obie strony; z tyłu, z przodu, z góry opakowana pudłami, koszykami, skrzyneczkami; dość wierny obraz arki Noego. W niéjto mały, pyzaty chłopiec, z opasłym mopsem wyprawiają przed mamą pocieszny duet, podczas gdy kochany papa z pokojówką czułe ukradkiem rzucają sobie spojrzenia. Woźnica nie żałując przekleństw, zacina szkapy, które z miejsca ruszyć nie chcą. Zaiste, poezyja gościńców jest szekspirosko-rozmaita. Wędrująca czeladź, uganiające poczty, zażywni wolarze, czarujące krajobrazy, gniéw obudzające rogatki, błogosławione domy zajezdne, cieniste studnie, małe mostki na strumykach, starożytne baszty, powabne wiejskie chatki, bystre rumaki... zaiste, sąto nie lada poetyczne żywioły. Spiéwy wędrowników, dzwonkami brzęczące trzody, melancholijny odgłos dzwonów wiejskiego kościoła... jaśniejące w słońcu gałki wieżyc, w lewo i w prawo zbożem złocące się niwy, ożywione gronem żniwarzy, malownicze okolice wiosek — to wszystko masz tu do widzenia.

I ta cała różnobarwna poezyja ma zaginąć koleją żelazną. O jakże prozaiczna, jak jednotonną jest ta kolej żelazna!!

Bezwątpienia koleje stworzą pospiech, ruch nowy, niesłychany, ale poezyję gościńców na zawsze zabiją. Taki wóz czarnoksięzki pędzi jak burza; a czy po lewéj ręce ma raj, czy po prawéj Eldorado, cóż go to obchodzi. Podróżny zostaje porwany niewstrzymanym, nieubłaganym losem, który mu nigdzie spocząć nie dozwoli. Musi się wyrzec wszelkiego widoku, wyrzec swojéj miłości dla pięknéj przyrody, bo ledwie będzie mógł rozeznać, że las zielonéj barwy, a niebo błękitne. Na biédnym gościńcu wszędzie pusto i samotno. Szynkarze w gospodach zalewając się krwawémi łzami, zdejmą swoje godła karczemne; *złoty orzeł* i *niebieski szczupak* spadną na ziemię; nikt ani dla siebie o jadło nie zapyta, ani posiadacz wioski nie będzie się miał poco fatygować do arendarza; najemni woźnice, zagniewani na bogów Hellady, zawodzić będą żalami Kassandry; furmani obwinią przyrodę o niesprawiedliwość, że górom dała tyle żelaza, a wodom tyle pary; czeladnik rzemieślniczy, biorąc rozbrat z wesołą wędrówką, zanudzi się w ciasnym wozie na kolei żelaznéj. W nocy poetyczny odgłos trąbki pocztarskiéj nie zbudzi śpiącego echa, i wcześnie zbudzony podróżnik nie zejdzie pięknéj Aurory jeszcze w negliżu. Jedziesz naprzykład do Paryża: Wiédeń, Mnichów, Strasburg, oddalone od siebie takiémi obszarami ziemi, mijasz jak stacyje pocztowe. A gdzież myślić w takim polocie po świecie, o przygodach, o podróży, o odwiedzinach dobrych przyjacioł po drodze, o doświadczeniu, o widokach? Dzisiejsze nasze gończe wozy i tak już prędko lecą, a teraz będą sześć razy prędzéj! O wy biédni mieszkańce wiosek! odtąd tylko w przelocie widzieć będziecie ucywilizowanych ludzi, a jeżeli czasami jaki piechotny wędrowiec do was zabłądzi, języka jego może nikt u was nie zrozumié. Starożytna, przezacna poezyjo gościńców, bywaj mi zdrowa! Już na tysiącach kowadeł kują twoję pieśń łabędzią! Ale pominąwszy poezyję, ileżto złego narobią te nowe koleje! niewierni kochankowie, gdy się wyrwą z uścisków swoich kochanek, nim opuszczone płakać za niemi przestaną najmniéj sto mil ulecą. Dłużnicy przyciśnieni od wierzycieli, uwolnią się od wszelkich nagabań, salwując się koleją żelazną. Niechże jaka pani Twardowska dopiecze swemu małżonkowi, małżonek na kilka dni oddali się od niéj, i w wirze uciech paryzkiego świata zapomni o piekle domowém. Żaden teatr dobrego nie utrzyma aktora, chybaby na łańcuchu go przykuł. Cały świat będzie w podróży; we wszystkich stolicach mieszkania stanieją. Policyja zmuszoną będzie zaprowadzić balonową żandarmeryję, aby górę utrzymać w świecie i winowajców choćby na końcu ziemi doganiać... Dla dziennikarzy największe jednak spłyną korzyści i najgłówniejsza sława, bo krytyka którą dziś napiszem, jutro czytaną będzie w Paryżu, pojutrze w Konstantynopolu... Teraz dopiéro pójdziemy w górę; niech tylko kto na nas się skrzywi, w przeciągu dwóch lub trzech dni postawimy go w obliczu całéj Europy na pręgiérzu.

PIESNI LUDU
Biało-Chrobatów, Mazurów i Rusi z nad Bugu, z dołączeniem odpowiednich pieśni ruskich, serbskich, czeskich i sławiańskich.

Gdzie to naszych dum połowa!
Zaporozkich dziś tak mało;
A miłosnych ta lub owa,
O trzech zorzach, trzech krynicach,
Siedmiu wodzach, stu dziewicach.;
Rzekłbyś, że te dumy z laty,
Przenuciwszy długie chwile,
Z ludźmi głuchą gdzieś w mogile. B. Z.

»Źródłem prawdziwej poezyi są pieśni gminne. W nich oryginalność, myśli i uczucia rodowe, w nich piękność zawsze płynąca z natchnienia, ujmuje i pieści serce. Z téj przyczyny wszystkie oświécone narody ubiegają się szczególniéj za podobnemi pieśniami i gromadzą je starannie. Już od dawna inne pokolenia sławiańskie posiadają zbiory pieśni takowych, czują ich wartość i wiedzą, że skarb ten jest drogim. My tylko, chociaż żyjemy bez ustanku wśród miłych prostaczych głosów, chociaż dźwięk znajoméj od dzieciństwa nuty, sprawuje nam rozkosz, nieuczone wyrazy i śpiéwy gminu silnie przemawiają i do najpolerowniejszego uczucia nawet, nié mamy jednak dotąd dostatecznego zbioru, a raczéj składu do przechowania tych pięknych tonów i myśli, które codzień się rodzą, bawią, ujmują i własną naszą niedbałością w oczach nam giną bez powrotu. Dotąd prócz pieśni przez Wacława z Oleska wydanych, nie posiadamy żadnéj innéj książki tego rodzaju i zbiór ten jedyny traci wiele na swéj wartości przez pomieszanie wielu pieśni poetów naszych, jak Karpińskiego, Andrzeja Brodzińskiego, teatralnych i tym podobnych, które nie mają nic spólnego z gminem.*) W takim stanie literatury naszéj, chcąc się przysłużyć publiczności ludu sławiańskiego, przedsięwziąłem wydać nowy ich zbiór, zupełniejszy, w lepszym doborze i tak, ażeby w każdym względzie światłym czytelnikom nic do życzenia nie zostawił. Pieśni, które wydaję, zebrał znany zaszczytnie publiczności, zasłużony w literaturze jako badacz sławiańszczyzny, pan Kazimiérz Władysław Wojcicki. Od trzynastu lat gromadzić je począł, z kosturem w ręku obchodził wioski, zaglądał do strzech wieśniaczych i zniewalał lud wszelkiemi sposobami do udzielenia sobie tych poezyj. Słyszał je nieraz powtarzane po wszystkich krajach sławiańskich w odmiennych dyjalektach, w innych wyrazach; lecz zawsze były one jednym echem duszy bratniej. Pieśni swoje uporządkował dzieląc na: 1) *Pieśni historyczne*, mające za przedmiot czyny lub osoby z dziejów wzięte. 2) *Pieśni prowincyjonalne*, zabytki czasów sławiańskich, zrodzone wówczas, kiedy pokolenia jedne drugich prześladowały i wyszydzały. 3) *Pieśni obrzędowe*, jak: gaik, kogutek, świętojanki, sobutki, wieńce przy dożynkach i okrężnych, kolędy, bajki. 4) *Dumy*. 5) *Pieśni weselne*. 6) *Miłośne*. 7) *Krakowiaki*. 8) *Mazurki*. 9) *Piesni wojackie*. 10) *Gadki ludu*, używane do wygadywania (deklamowania). 11) *Legendy*. Pieśni te wszystkie, drukowane (w Warszawie) podług wymienionego porządku, zajmą dwa tomy i wychodzić będą zeszytami, których w ogóle 47 wyjdzie numerów, każdy zeszyt złożony z jednego arkusza, na papierze welinowym fabryki krajowéj, czcionkami jasnemi i foremnemi, ozdobiony zostanie albo *muzyką* zawiérającą sam śpiéw ludu z podłożeniem instrumentalném i z dobrém oddaniem, jakiego tylko spodziewać się można po talencie zasłużonego kompozytora, p. Ignacego Dobrzyńskiego, albo jeźli muzyka dołączoną niebędzie, wtenczas zastąpi jéj miejsce rycina stosowna, wystawiająca osoby w ubiorach starożytnych i rodowych, a to podług pomysłu i utworu p. Jana Piwarskiego, tyle znajomego publiczności z pięknych płodów malarskich. Rycin takowych 12 dzieło to ozdabiać będą.« *Józef Kaczanowski.*

*) Zbiór pieśni ludu Wacława z Oleska, jako piérwszy w swym rodzaju, obfitością i starannem wyszukaniem wielu rzadkich utworów gminu zalecający się, wcale nie traci na swéj wartości; tem więcéj, że obudził chwalebne w téj mierze spółzawodnictwo.
Przyp. Red.

— Ze Lwowa. —

W drukarnii Stauropigii lwowskiéj wyszło temi dniami dziełko w języku niemieckim: *Abhandlungen über die Regeln, nach welchen die Slaven des griechischen Ritus den Ostertag berechnen; von Jachimowicz.* Str. 50, z tablic.

Literackie doniesienie o wyszłych polskich dziełach: *»Teatr warszawski,* Warszawa 1835: Oddział II. część 6ta: »Siedm dziewcząt pod bronią,« krotochwila w 1. akcie, z muzyką różnych kompozytorów, przetłumaczona z francuzkiego przez J. N. Kamińskiego, dyrektora teatru lwowskiego. Oddz. II. Część 7ma: »Dziesięć lat życia kobiety, czyli złe rady,« w 5ciu aktach, a 9ciu obrazach, z francuzkiego pp. Scribe i Terrier; (każda część z jednym obrazkiem). — *Przewodnik rolniczo-przemysłowy*, Leszno, Nr 1., 2. i 3. z kwietnia i maja 1836 r., str. 64. — *Panorama literatury krajowéj i zagranicznéj* Nr 2., w Warszawie 1836. 1) Literatura niemiecka: *a)* Poezyje epiczne: Pieśń o Nibelungach. Księga bohaterów. Gedruna. Olnit. Hugo. Dytrych. Król Rother. Podania o Arturze, o świętym Gralu. Poemata Wolframa von Eschenbach: Tristan i Insalda. Iwain. Powieści z dziejów Karola W. Przerabianie klasyków starożytnych. *b)* Poezyje dydaktyczne: Tyro. Winsbek i Winsbekowa. Gość francuzki. Skromność Frajndanka. Salomon i Markolf. Bajki, klejnot Bonera. Walka na Wartburgu. *c)* Proza: Źwierciadło saskie i szwabskie, przez A. J. S. 2) Obrazy Kaukazu Alex. Marlińskiego: Pożegnanie Morza Kaspijskiego, tłum. M. C. 3) Złoty poranek (scena warszawska), tłum. podług Glasbrenner'a T. N. 4) Klechdy, Kazimierza Wł. Wojcickiego. 5) Poezyje: *a)* Książę Henryk Lew (z Eberta), tłum. Fr. Zatorski; *b)* Do Katarzyny, Ign. S.; *c)* Sonety (z Göthego): Żal kochanki, Koleje wieku, Przygotowania w drogę, tł. J. S. *d)* Piosnka, Wik. Zielińskiego. 6) Kronika literacka. — *Wiérsze rozmaite przez L. P.(otockiego)*, w Poznaniu, 1836; str. 149. — *O potrzebie i możności zaprowadzenia w naszym kraju jedwabnictwa,* z najnowszych zagranicznych dzieł, przez J. N. Kurowskiego; Warszawa, 1836. Część I. O hodowaniu drzewa morwowego. Część II. Sposób chodowania jedwabnic od ich wylęgnienia do oprzędzenia się. Część III. O apreturze jedwabiu, t. j: odwijanie go z oprządów, kręcenie, i t. p.; niektóre wiadomości o handlu i przedaży tego płodu. (To dziełko zasługuje, aby w zakładach naukowych było młodzieży do nauki udzielane; a bardzo zalecać wypada, i życzyć sobie: aby w zakładach siérot, ubóstwa i t. p., według danych w tém dziele przepisów, zaprowadzone zostało w kraju naszym jedwabnictwo, któreby do zasobów tych zakładów wiele bardzo przyczynić się mogło, a rozszérzone w kraju naszym wieleby dopomogło do jego ubogacenia. *A.*

Horacyjusz Vernet zajmuje się w Petersburgu robieniem cztérech obrazów, które mają za przedmiot wojnę Rossyi z Turkami w 1828 roku.

Anglija urania z każdym prawie rokiem jaki kwiat ze swego poetycznego wieńca. Świetne pokolenie wieszczów, które zaczęło się od Cooper'a i Burns'a, które wskrzesiło styl i uczucie poezyi, zstępuje do grobu. Jakże nie dawno zgasł Crabbe, ów zimny i nielitościwy anatomista uczuć, który, z lancetem w ręku, zagłębia się

we wszystkie ułomności człowiecze, i zbadywa do jakiego punktu gangrena krew zepsuła, i zniszczyła źródła żywotne, ów Crabbe, nie mający nawet łez dla nieszczęścia, ani gniewu dla zbrodni; co nie jest ani satyrykiem, ani poetą elegiackim, co najspokojniéj zdziéra zasłonę, kryjącą ranę nędzarza, pijaństwo starego żołdaka, rozpacz zrujnowanego gracza, nieszczęśliwy koniec występnego włóczęgi, i mówi: Patrzcie!... Za nim poszedł do grobu, Coleridge, spirytualista, erudit, przesądny, dziwaczny, który każdego dotyka przedmiotu, dobywa z niego iskry elektrycznéj, i znowu porwany swoim niestatecznym lotem, ginie w nieskończoności z przed oczu czytelnika. Nie dawno zgasła mistress Hemans, owa luba kobiéta, któréj talent postępowo się rozwijał; nie dawno Karolina Lamb, a nakoniec James Hogg, znajomszy pod nazwą: Pastérza Ettriku. Urodził się on 15. stycznia r. 1772, w 30 lat po śmierci Burns'a, z rodziców ubogich, nie mogących mu dać starannego wychowania. W latach młodych udał się na paszenie trzód w góry, gdzie talent jego poetycki prędko się rozwinął. Utworzył tam kilka długich ballad, które wydał, pod tytułem: *The mountain bard* (Bard z góry). Zostawał w związkach z Walter-Scott'em i poetą Wilson'em; lecz na głośną sławę zarobił sobie dopiéro wydaniem swego poematu: *Wieczory królowéj.* Pastérz Ettriku umarł w folwarku, darowanym sobie przez spaniałomyślnego księcia Buccleugh. Szczytny poeta Wordsworth, dowiedziawszy się o zgonie jego, improwizował z tego powodu prześliczną poezyję.

Bardzo ważnego doświadczenia udzielił nie dawno lekarz Fontenelle francuzkiéj akademii umiejętności: Panu Portal przyniesiono dziécię, które nieżywe na świat przyszło; już od kilku chwil leżało na jego anatomicznéj scenie, gdzie miało być sekcionowane. Gdy się już zabiérał do czynności, przychodzi mu pomysł... tchu napuścić w usta dziecięcia, co uczyniwszy po dwóch lub trzech minutach powróciło ciepło, i krew zaczęła swój obieg, serce biło i wkrótce martwe zwłoki zamieniły się w żywe dziécię, które rodzicom odesłał. Z tego powodu zwraca pan Fontenelle uwagę, jakie szczęśliwe skutki można otrzymać przez wtchnięcie powietrza nowonarodzonym dzieciom; wszelako ostrożnie w tém postępować trzeba, i nie zbyt wiele puszczać tchu w piersi.

W Münster w Prusiech puszczono renifera z końmi na wyścigi. Siedem rumaków wyprzedził on w biegu, lecz w końcu ujeżdżony ogier go prześcignął.

Zkąd to słowo *Cocarde* ród swój wzięło? Jeszcze za Ludwika XII. nosili żołnierze kapelusze z pióropuszem królewskiéj barwy, który nazywano: *Chapel de plumes.* Pióropusz ten był zwykle złożony z piór kogucich *(plumes de coq)*, i ztąd brał nazwę *coquarde* czyli *cocarde.* Gdy poźniéj na miéjsce pióropuszy użyto węzła ze wstążek, rzecz się zmieniła, a nazwa w rozmaitym kierunku mody, aż do liberyi służalców przenieść się dała.

Zaledwie zapomniano w Paryżu o brodzie jenerała Allard, gdy teraz nowe zjawisko zwraca powszechną uwagę; jestto młody Anglik, który właśnie co przybył z południowéj Afryki z krainy Amazuli. Dzicy zadali mu ranę w pewnéj potyczce, z tego powodu musiał do Europy powrócić. Młody gentleman pokazuje się w salonach w ubiorze wojowników Amazuli. Wyższa część jego ciała pokrytą jest bawolémi włosy, a od pasa wiszą mu lamparcie ogony. Na głowie ma bujne pióra. W ręku nosi podłużną tarczę ze skóry bawoléj i dziryt, z bardzo ostrym grotem. Podróżnik ten umié nawet i mowę Amazulanów, któréj próby posłał jeograficznemu towarzystwu londyńskiemu.

W dniu urodzin Najj. Cesarza Ferdynanda, wicekonzul austryj. w Smyrnie odprawiał *Tedeum* w kościele katolickim, przyczém brzmiała muzyka, złożona z samych Turków, a Żyd zbiérał jałmużnę dla ubogich wszelkiéj religii. Podczas obiadu Turcy grali marsze Rossyniego.

Listy z Genui donoszą, że tamże zamieszkały doktor Palmeryni wynalazł żelazną machinę, dotąd nieznanéj poruszalnéj siły, która zarazem i z wszelką porządkowością parowego mechanizmu, i z całą złożoną potęgą teoryi Archymedesa działalność swoję wywiera. Machina ta jest 5 1/5 łokcia széroka, 3 długa, a 3 1/2 wysoka, i ma siłę 1340 koni. Pl.

Pan Brugnell doświadczeniami czynionémi na zwierzętach doszedł, że roztwór fosforanu sody jest lekarstwem na otrucie grynszpanem.

Kiedy Walpole stał u steru angielskiego rządu, wszystkich złoczyńców odsyłał do osad amerykańskich, przezco krajowcy wiele nieprzyjemności doznawali. Z tego powodu pisał Franklin do usłużnego ministra, dziękując mu za tę zbytnią pieczołowitość macierzystego kraju, i przytém, aby mu dowiódł wdzięczności Amerykanów, posyła mu w ich imieniu skrzynię z grzechotnikami, z prośbą, aby je puścił w królewskie ogrody, gdzie plemie to najlepiéj rozmnożyć się będzie mogło, i tyle korzyści dla Anglii przyniesie, ile przewóz zbrodniarzy dla Ameryki.

Przed dwoma wiekami ledwie jeden na tysiąc nosił pończochy robione na warsztacie, przed jednym wiekiem ledwie jeden na pięciuset. A teraz nié masz prawie jednego na tysiąc (lecz nie u nas), którýby pończoch nie nosił; z tém wszystkiém William Lea, wynalazca warsztatu pończochowego, nie znalazłszy żadnego wsparcia na swój wynalazek, umarł ze zgryzoty.

W Norfolk znaleziono pewną kobiétę wdowę, nie bogatą, i mającą miłość u ludzi, w swym pokoju zamordowaną... szyję miała z przodu podrzniętą, a zkrwawiona brzytwa, jakby wypadła z jéj ręki, leżała tuż na ziemi. W meblach nie okazywał się żaden nieporządek, ani też widać było kradzieży w pieniądzach i rzeczach. Zebrano zeznania świadków: wszyscy sąsiedzi wnosili, że nieboszczka sama sobie odebrała życie. Tego też zdania byli dwaj chirurgowie, i już 11 przysięgłych w wyroku swoim uznało ją za samobójczynię, gdy dwunasty, jakiś poczciwy wieśniak, jakby tknięty wewnętrznem przeczuciem przystąpił, na wezwanie koronera, do trupa i krzyknął przeraźliwym głosem: »Zabójstwo! zabójstwo! ta kobiéta jest zamordowaną!« Obecne osoby okazały największe zadziwienie, lecz wieśniak tak się odezwał: »Patrzcie ona ma włosy ciemne, a czy nie widzicie na jéj paznogciach rudych włosów?« Wszystkich spojrzenia zwróciły się na zięcia nieboszczki, który miał rude włosy; pomieszanie jego tak było uderzające, że wzięty pod inkwizycyję natychmiast się przyznał.

Serce i rozum. Wielkieto nieszczęście dla człowieka, gdy jego wyobraźnia weźmie górę nad sercem. Głowa nato tylko stoi tak wysoko, aby była chorągiewką serca. Serce jest słońcem życia, a wszystko inne tylko obraca się koło niego. Jest jakaś tajemna dążność rozumu, aby serce przytłumić. Dzieje ludów mają swoje okresy, w którychto zwycięztwo rozumu nad sercem rozpaczający przedstawia widok; sąto zwykle czasy sofistów i gramatyków. Rozkosze familijnego życia uciekają wtedy z pod domowej strzechy; wiara społeczeńska nigdzie nie wkorzenia się głęboko. Same tylko zjawiają się pomysły, mary, cienie; najmniéjszy wietrzyk je spędza, i rozprasza jak liście jesieni, nie mogące się utrzymać przy swoich gałązkach. Wszystkie rzeczy, najważniejsze zdarzenia przechodzą tylko powierzchownie, a człowiek, który w myśli swojéj widzi ten ciągły przechód opinij, jak snów zwodniczych, zdaje się powątpiéwać o własném swojém istnieniu.

Redaktor Jan: Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.